

DIABELSKI TUZIN

Z licznych wtedy podróży po piłkarskiej Polsce najbardziej utkwiły mi w pamięci dwa spotkania ligowe. Jedno: to wygrana Legii w „dziesiątkę” z Lechem w Poznaniu 6:0, a drugie – miażdżące zwycięstwo w Warszawie nad Wisłą Kraków 12:0. Stołeczna drużyna zrobiła ogromne postępy. CWKS 1955 imponował przede wszystkim młodzieńczym polotem i fantazją oraz niecodziennym talentem i radością z gry większości zawodników. Natomiast ten z 1956 roku, zachowując te wszystkie cechy, zadziwiał również dobrym przygotowaniem fizycznym, poprawną taktyką i zdecydowanie większym doświadczeniem.

Nader ważny w piłkarstwie element dojrzałości wniósł do zespołu odzyskany z Gwardii Edmund Zientara, a Ryszard Koncewicz pozostałe wartości, w tym nieporównywalnie sprawniejszą niż dotychczas organizację gry. Zaczął od doskonalenia gry obronnej, następnie pozmieniał pozycje napastników i przydzielił im nowe role w zespole. Atak Legii nadal preferował typowo ofensywny wariant taktyczny w kształcie litery „T” (czterech graczy w przodzie i jeden za nimi), ale Henryk Kempny z prawego skrzydła przeszedł na środek, natomiast na flankę powędrował Ernest Pohl.

Tym cofniętym zawodnikiem był Edmund Kowal. Wraz z Zientarą i Strzykalskim tworzyli swoisty „trójkąt myślicieli”, przypominający z systemu WM „magiczny kwadrat”. Była to wyjątkowo mocna formacja strategiczno-taktyczna i ogromna siła napędowa drużyny. A w przodzie hasali Brychczy, Kempny, Pohl i pozyskany z Polonii Bytom Czesław Ciupa. Drużyna zbierała oklaski przy „otwartej kurtynie”. Nieprzeciętne uzdolnienia tych zawodników Koncewicz podbudował żelazną kondycją i rozległą gamą wiedzy taktycznej. Realizację tych zadań powierzył odpowiednim wykonawcom. Jak to robili?

Dziś niemal każdy jak wieczorny pacierz, powtarza, że „słabszą stroną naszych drużyn ligowych jest atak pozycyjny”. „Faja” i jemu współcześni rówieśni-

cy nazywali to inaczej – „zespołowy atak wyrozumowany”. Ta definicja zapewne lepiej oddaje ten sposób rozwijania i kończenia akcji ofensywnych. Podkreśla się w niej nie tylko formę natarcia, lecz także dobrze przemyślaną myśl taktyczną. Wymaga to wysokiej techniki i inteligencji w grze. Legia 1956 miała te wszystkie atuty.

Mecz z Wisłą był rewanżem za przegraną 0:2 wiosną w Krakowie. Gospodarzom pomagały wówczas nie tylko ściany, również sędzia przyłożył do tego swój gwizdek. Wojskowi byli żądni rewanżu, od czwartku wprowadzili do zespołu niemal klasztorny reżim, nie pili, mniej palili, za przykładem Antka Mahsellego i Jurka Woźniaka mlekiem gasili pragnienie. Skutek był piorunujący! Z tuzina bramek strzelonych Wiśle (dość długo też kandydata na mistrza) pięć zdobył Ernest Pohl, który z tej legionowej ferajny najrzadziej wylewał za kołnierz, ale właśnie on oraz Brychczy, Kowal, Zientara i Strzykalski byli głównymi twórcami tego diabelskiego tuzina. Dwadzieścia pięć tysięcy widzów szalało ze szczęścia.

Kto wie, czy jeszcze wyżej nie należałoby ocenić 6:0 „Wojskowych” w Poznaniu. To nie pomyłka – 38 tysięcy kibiców przybyło na stadion Warty i wszyscy wierzyli w sukces ukochanego „Kolejorza”. Jednak już w pierwszym kwadransie bramki zdobyli Brychczy i Kempny, goście prowadzili 2:0. Stadion zamarł, ja nie przeżywałem nadmiernych emocji, bo takie „magiczne kwadranse” w wykonaniu legionistów przeżyłem już nie raz. Jednak w 17 minucie prowadzenie Legii zostało zagrożone. Kontuzji doznał Czesław Ciupa, wił się z bólu, opuścił boisko i... już nie wrócił do gry. Nikt nie miał prawa go zastąpić. Takie drakońskie były wtedy przepisy. Przez 73 minuty wojskowi musieli grać w „dziesiątkę”.

Przygaszeni kibice Lecha nagle się ożywili, dostrzegli szansę na odrobienie strat. Cały stadion ryknął: „Kolejorz! Kolejorz!”. To poderwało piłkarzy, wściekle zaatakowali. Poznań to już zna, niedawno tak właśnie nacierało słynne poznańskie A-B-C: trio Anioła – Czapczyk – Białas. Znowu będzie festiwal bramek?

Ale Legia nie pękała. Walczono o każdy skrawek boiska. Szatańsko dobrze grał Brychczy. Miał już na koncie jedną bramkę, a teraz dołożył jeszcze trzy. Benefis futbolisty! Na trybunach cisza, tylko wśród koneserów pomruki i tajemnicze szepty: – „*Piłkarz to czy lekkoatleta?*”. Legia dobiła do pół tuzina. Tak to w „PS” opisałem:

...„Brychczy, szybko i zgrabnie, jak sarenka: biegał, podskakiwał, brał wszystkie przeszkody, imponował startem, nagłymi zrywami i obrotami wokół własnej osi, zamęczał rywali zwodami... Potrafił na odcinku 10-metrowym zdystansować obrońców Lecha o kilka długości... Poza nim jak zwykle osiłą zespołu, jego siłą napędową, była para pomocników Strzykalski – Zientara.”

Kolejny dublet Legii, mistrzostwo i Puchar Polski przypadł akurat w 40 rocznicę powstania klubu. Wiosną jubileusz ten uczczono efektowną wygraną w towarzyskim meczu ze szwedzkim Djurgaarden, natomiast jesienią w spotkaniu o punkty w Klubowym Pucharze Europy było już znacznie gorzej. Debiut w rywalizacji mistrzów opłacono słonym frycowym. Slovan Bratysława z Michałem Vicanem w obronie okazał się w tej rozgrywce „szczwanym lisem”. Nie przebijając w środkach, wyraźnie odbiegających od zasady „czystej gry”, całkowicie rozbroił CWKS. Przy rutynowanych Słowakach, młodzi legioniści chwilaми sprawiali wrażenie nieopierzonych piskląt. Zabrakło rozumu przy młodości, przegrali 0:4. Oglądałem i opisałem mecz rewanżowy, wygrany przez Legię 2:0. Była zdecydowanie lepsza, błyskotliwsza, mogła nawet odrobić straty z Bratysławy. Doświadczeni spryciarze ze Slovana umiejętnie się jednak bronili. Po drugiej bramce, strzelonej przez Edmunda Kowala, sprawozdawca Polskiego Radia, Tadeusz Pyszkowski wrzeszczał w niebogłoso:

– Oj strzelaj, strzelaj! Prędzej strzelaj!... Jest!...

W roku 1956 minęła druga rocznica piłkarskiego planu „dogonienia Węgrów”. W skali kraju nie widać było postępów, lekkim optymizmem powiało tyl-

ko na turnieju UEFA juniorów na Węgrzech. Natomiast, jeśli idzie o „otwarcie naszej reprezentacji na Europę”, nastąpiły dość wyraźne zmiany ilościowe. O ile w roku 1953 rozegrano trzy mecze międzypaństwowe, w następnym tylko dwa, a w 1955 znowu trzy, to teraz już siedem, w tym jednak zaledwie dwa zwycięskie – z Norwegią 5:3 i Finlandią 5:0.

W lidze przez kolejne trzy lata (1949, 1950 i 1951) najlepszym strzelcem był Teodor Anioła z Lecha Poznań (wtedy przechrzczonego na „Kolejarza”), ustępował mu nawet Gerard Cieślik. Jednak na grę w reprezentacji monopol miał chorzowianin. Członkowie komisji selekcyjnej PZPN przeforsowali opinię, że poznaniak nie sprawdza się w reprezentacji. To zawodnik wyłącznie klasy ligowej! Sądzę, że nie była to sprawiedliwa ocena. Raczej nie potrafiono wkomponować Teodora w reprezentacyjne towarzystwo Gracza i Cieślika. Sugerowano, że Anioła nie potrafił znaleźć wspólnego języka z Cieślikiem. Ale bramki umiał strzelać, tryskał energią, nacierał jak czołg. Podczas meczu Polska – NRD w roku 1952 w Warszawie przed przerwą szło naszym topornie, przeważali, ale wynik był bezbramkowy. W drugiej połowie za Jana Wiśniewskiego wszedł na boisko właśnie Teodor, rozruszał nasz atak, zdobył dwie bramki i... Polska wygrała ten mecz 3:0. Poznański „bombardier” miał wtedy zaledwie 26 lat. Piękny wiek dla piłkarza. Jednak nie dla Anioły. Wkrótce komisja selekcyjna całkowicie z niego zrezygnowała.

Więcej gier, szersze kontakty, narastająca fala nowego pokolenia, wyraźne zmiany ilościowe. To jednak jeszcze nie zmiana jakości. Sekcja Piłki Nożnej kierowana wtedy przez Władysława Rajkowskiego, średniej rangi funkcjonariusza GKKF, zdobyła się jednak na odwagę i zakontraktowała kolejny pojedynek z Węgrami. Dotychczasowe kończyły się fatalnie, po nich twarz aż paliła się ze wstydu: 2:6, 1:5 i 2:5 w Polsce oraz 2:8 i 0:6 na Węgrzech. Tego pół tuzina goli w maju 1951 roku być może udałoby się uniknąć, gdyby wpływu na skład repre-

zencji nie mieli pracownicy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Oni decydowali o wydawaniu paszportów. Właśnie przed meczem z Węgrami w Budapeszcie zablokowano je pięciu zawodnikom Wisły Kraków: Jerzemu Jurowiczowi, Mieczysławowi Graczowi, Józefowi Kohutowi, Zdzisławowi Mordarskiemu i Józefowi Mamoniowi. Jaka to reprezentacja bez tych piłkarzy?

Oglądałem trzy przegrane „biało-czerwonych” w Warszawie i za każdym razem byłem zauroczony klasą Deaka, Egressiego, Grosicsa, Bozsika, Puskasa, Hidegkutiego, Kocsisa. Tym większą radość sprawiała każda bramka zdobyta przez Polaków. Celnie strzelali: Cieślik (2), Kohut, Mordarski i Alszer. Raz tylko w roku 1952, tuż przed Olimpiadą w Helsinkach, opuszczałem Stadion Wojska Polskiego z dużym niesmakiem. Nie tyle z racji przegranej 1:5, ile z iście groteskowego przebiegu tego spotkania. Przed przerwą Węgrzy zabawiali się z nami w kotka i myszkę i bez trudu strzelili Edwardowi Szymkowiakowi pięć bramek. Oficjalnie obwiniono za to młodego stopera Romana Korynta, przeto w drugiej odsłonie zastąpił go rutynowany Ewald Cebula. I stał się cud. Ślązak zaszachował węgierski napad! Co więcej, Walter Alszer zdobył gola, w efekcie uniknęliśmy katastrofy. To też cieszyło, ale...

Dobrze zorientowani, opuszczając stadion na Łazienkowskiej, lekko przy tym mrużąc oczy, mówili, że po przerwie wcale tak fajnie nie było. Węgrzy popfolgowali na gorącą prośbę kierownictwa naszej ekipy i pozwolili uzyskać w miarę przyzwoity końcowy wynik. Gorszy – mógłby skłonić decydentów z GKKF do wycofania naszej drużyny z Igrzysk Olimpijskich w Helsinkach. Z pobudek patriotycznych i wierności zasadom „czystej gry” długo nie wierzyłem w te opowieści. Przekręty na takim szczeblu? Dopiero kilka lat później red. Mieczysław Szymkowiak, który był wtedy w SPN GKKF wiceprezesem do spraw szkoleniowo-sportowych, ujawnił mi całą prawdę. Gustav Sebes, Puskas i spółka rzeczywiście nam pomogli. No cóż, Polak – Węgier dwa bratanki...

W tej sytuacji wynik 1:4 w roku 1956 w Budapeszcie wydał mi się już mniej upokarzający i rodził jakąś nadzieję. Rychło jednak przekonałem się, że jest ona „matką głupich”. Kolejny mecz, w dniu otwarcia Stadionu Śląskiego w Chorzowie, nasi znowu przegrali i to z NRD 0:2. Miarka się przebrała. Nastąpiły cięcia w pionie szkoleniowym. Ryszarda Koncewicza w roli selekcyjnera zastąpił Alfred Nowakowski. Współpracowali z nim trenerzy Artur Woźniak i Alojzy Sitko. Też nieudolnie. We Wrocławiu w meczu z Bułgarią przełomu nie było. Zamiast oczekiwanych zmian na lepsze, kolejna przegrana 1:2. Grzegorz Aleksandrowicz potraktował drużynę dość łagodnie, ja wyraziłem opinię, że „Z pustego i Salomon nie należy”.

Wpadka z Bułgarią poruszyła zespół redakcyjny. Na pomeczowej „letuczce” przeglądowi antyfutboliści zmieszali nas z błotem. Mocno poraniło to redaktora Aleksandrowicza. Był już zdruzgotany niepowodzeniem reprezentacji, teraz dobili go „przyjaciele” z redakcji. Nie był w stanie zebrać myśli i w rezultacie nie napisał zapowiedzianego artykułu redakcyjnego. A był potrzebny, bo uznano, że nasze dotychczasowe opinie na ten temat nie są wystarczające. Poczujęm się nieswojo. Przecież wytknąłem Nowakowskiemu błędy w składzie i chybiłą koncepcję taktyczną, nisko oceniłem postawę zawodników. Cieślika zgańnięm za brak szybkości, a Kowala za egoizm. Widział na boisku tylko kolegów klubowych, Brychczego i Pohla, a zupełnie ignorował Machowskiego z Wisły i Nowaka z Szombierek. Nieco lepiej grali tylko: Szymkowiak, Masłoń, Korynt i Woźniak.

– To wszystko prawda i nawet dobrze się czyta – tak ocenili nasz wysiłek Leszek Cergowski i Marek Kuszewski – ale nie ukazuje ogólnie złego stanu polskiego piłkarstwa. Trzeba zająć w tej sprawie bardziej krytyczne stanowisko, sięgnąć przyczyn tej przewlekłej choroby. Czytelnicy tego od nas oczekują.

Zespół przyłączył się do opinii Leszka i Marka. Zrodziło się teraz pytanie: – Kto ma to zrobić? I to szybko! Pan Grzegorz jeszcze nie doszedł do sie-

bie, a Zmarzlik tak głęboko nie tkwił w futbolu. Marek Kuszewski nie miał wątpliwości:

– Jurek był we Wrocławiu, zna temat, niech się pokaże! Wyrazi zdanie w imieniu nas wszystkich...

Zbyt dużej ochoty na to nie miałem, bo też czułem się zmęczony. Przed powrotem do Warszawy zaciągnąłem Mieczysława Gracza i Franciszka Głowackiego do wrocławskiego niby – kasyna gry. Chciałem się zabawić na stole bilaradowym. Obiecałem, że jak trafi się jakiś frajer i ogram go, to zabalujemy. Szło mi doskonale. Najpierw w „piramidkę” udzieliłem lekcji miejscowemu „mistrzowi”, a potem w „amerykanke” wygarbowałem skórę facetowi, którego w trybie nagłym ściągnięto do „meliny”. Chętnych było więcej, przeto kasa rosła, kieszenie pęczniały. Zapowiedziana kolacja we wrocławskim „Metropolu” była wyjątkowo wystawna.

To było wczoraj. Zbiegłem teraz z pierwszego piętra z gabinetu naczelnego, gdzie z reguły odbywały się „letuczki”, do pokoju, w którym pracowałem razem z Grzegorzem Aleksandrowiczem i Zygmuntem Weissem. Zabrałem niezbędne notatki i udałem się do hali maszyn. Motywacja i koncentracja zawsze były moją mocną stroną. Na kilkadziesiąt minut wyłączyłem się z otaczającego mnie świata, nie reagowałem na redakcyjny gwar, tylko pisałem i w miarę szybko wysmażyłem ten „redakcyjny komentarz”. Ulga. Red. Aleksandrowicz przyjął to przychylnie, pozostali koledzy również. A czytelnicy? Jeden z naszych wytrwałych „sympatyków” z Łodzi od lat chlastał nas niemiłosiernie, ale tym razem był wstrzemięźliwy w ocenie. Pochwalił nawet główną tezę tekstu: „Nie taki lub inny skład, lecz słabe umiejętności zasadniczą przyczyną porażek piłkarzy”.

Pytałem: – „W czym mamy wybierać? W Lechii jedynym klasowym piłkarzem jest Korynt, sławy łódzkiego Włókniarza już dawno przebrzmiały, Wisła, od której oczekiwano odrodzenia, przegrała 0:12 z CWKS, Cieślik – as atuto-

wy Ruchu jest dziś tylko swoim cieniem. Piłkarze z Opola grają – poza Jarkiem – jeszcze bardzo prymitywnie. Z próżnego i Salomon nie należy. Dlatego nie trzeba się dziwić, że skład na mecz z Bułgarią znowu oparto na szkielecie CWKS i... że znowu dostaliśmy baty... Jesteśmy słabi. Bardzo ubogi jest nasz piłkarski elementarz i nic nie robimy w tym kierunku, aby ten stan zmienić...

GINĄ TALENTY

I dalej: – Cóż zatem powinniśmy zrobić, aby wyjść wreszcie z impasu? Mecz z Bułgarią wykazał, że ani Koncewicz, ani kapitanat nie zbawi naszego piłkarstwa. Przyczyny słabości tkwią głębiej. Zmiany personalne, ta czy inna obsada poszczególnych formacji naszej drużyny, nie są w stanie spełnić roli czarodziejskiej różdżki. Z braku wyboru zmuszeni jesteśmy obracać się zarazie w kręgu tych samych zawodników, z których już niewiele da się wykrzesać.

Nasze drużyny ligowe trenują ot tak sobie, aby mieć spokojny żywot w lidze. Rzadko komu prześwięca ambicja i chęć wybicia się, przewyższenia rywala. Zaprawa w klubach ma charakter zła koniecznego. Nikomu nie przychodzi na myśl, że im solidniej trenuje się w dzień powszedni, tym łatwiej o sukcesy w dniu wielkiego święta. Brak konkurencji w klubie sprawia, że słynny „asior”, będąc nawet w słabej formie, ma pewne miejsca w pierwszej drużynie. Zniechęca to młodzież...

Nie bez wpływu na poziom drużyn i postawy zawodników są również mierne umiejętności fachowe trenerów. Wielu z nich nie ma zdolności pedagogicznych, inni znów posiadają zbyt skromny zasób wiedzy specjalistycznej. Potrafią oni doprowadzić zawodnika do pewnego poziomu – wyżej już nie. Umiemy nieźle pracować z juniorami, ale nie jesteśmy w stanie wyszkolić dobrych seniorów. Potem pytamy: – Dlaczego giną talenty? Nie są to nowe i oryginalne poglądy, ale wszystkie te prawdy znalazły potwierdzenie w meczu z Bułgarią. Nowa eki-

pa, która wkrótce dojdzie do władzy, musi wreszcie wziąć się do rozumniej i konsekwentnej pracy”.

Aż się wierzyć nie chce, że są to wybrane fragmenty komentarza sprzed ponad półwiecza... Czytelnicy w listach do redakcji i korespondenci terenowi z całej Polski, główną uwagę skupili na stwierdzeniu: „*Nowa ekipa, która wkrótce dojdzie do władzy...*”. Potraktowano tę sekwencję szeroko, daleko wykraczając poza sytuację w futbolu. Po czerwcowych „wydarzeniach w Poznaniu”, mimo że premier Józef Cyrankiewicz groził zastosowaniem barbarzyńskiego prawa Hammurabiego wobec tych wszystkich, którzy odważą się „podnieść rękę na władzę ludową”, ruszyła lawina protestów. Domagano się zrzucenia krępującego społeczeństwo gorsetu zniewolenia. Odradzała się nasza tożsamość narodowa, potęgowało dążenie ludzi pracy do godziwego życia. W piłkarstwie szczególnie lata 1950 – 1956 poważnie opóźniły odrabianie wojennych zaległości w stosunku do Europy Zachodniej. Zły był system, wadliwe struktury, skrupowana samodzielność Związku. Wiedzieliśmy o tym od dawna, ale byliśmy bezsilni.

Nadzieję na przewrót choćby namiastki normalności, odbiurokratyzowanie administracji i powrót do działalności społeczników, odsuniętych, uwięzionych lub zesłanych na „białe niedźwiedzie”, zrodził szybko zbliżający się Polski Październik. Zryw wolnościowy w Poznaniu trafił więc na podatny grunt również w sporcie. Kluby i okręgi wypowiedziały się za koniecznością zmian. Temat „rozrachunków z przeszłością” i naprawiania „błędów i wypaczeń” podjęła prasa, w tym również „Przegląd Sportowy”. Jednoznacznie podkreślono konieczność „przewietrzenia naszego piłkarskiego domu”. Z katorgi zaczęli wracać działacze. W Cracovii znowu persona grata był dr Józef Lustgarten. Jego dramatyczną „polską drogę” i 17 lat tułaczki opisałem w miesięczniku „Piłka Nożna”. Doktor niechętnie mówił o swoich cierpieniach, bez rozgłosu wznowił działalność w ukochanym klubie. Rychło więc Cracovia wyniosła Józefa Lustgartena do rangi Ho-

norowego Prezesa, a GKKFiT wyróżnił odznaką Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej. W roku 1959 PZPN nadał doktorowi praw tytuł Honorowego Członka PZPN.

Wierchuszka fizykultury „poczuła pismo nosem”. Błatowaniem niepokornych usiłowała ratować swoje pozycje. Na gruncie upokarzającego społeczników systemu totalitarnego, rządów naczelników i niekompetentnych nadzorców, obiecywano odrodzić niektóre formy działalności PZPN z okresu międzywojennego i pierwszych lat po 1945 roku. Puste słowa. W tym systemie związkom i klubom nie da się uniknąć upokarzającej usłużności wobec GKKF, ograniczonej samodzielności i braku inicjatywy, krótko mówiąc niedemokratycznych form organizacji i zarządzania sportem. Tu potrzebne są radykalne zmiany, a nie kosmetyka dyktatu. Kierownictwo SPN GKKF trwało w obronie narzuconego porządku, ale już w czerwcu 1956 roku zaczęło przebąkiwać o planach decentralizacji. Szef resortu, Włodzimierz Reczek, tak to nakreślił:

– Sekcja centralna powinna kierować całością spraw piłkarskich, a sekcje terenowe być gospodarzem u siebie... Czy to realne? Tak, ale będzie to dłuższy proces.

To kunktatorskie oświadczenie nie zadowoliło zwolenników szybkich reform. Władze sportowe nie ustawały w „zmiękczeniu” piłkarzy. Sekundował im CRZZ, szermował ogólnikami, w rzeczywistości niczego nowego nie proponował. Stawiał na dotychczasowe formy organizacyjne i przywileje niektórych zrzeszeń sportowych. Niezadowolenie narastało. W obawie przed opozycją, w piątek, 21 września, w siedzibie Stołecznego KKF na Rozbrat obrońcy starego porządku zorganizowali tajną naradę. Bez udziału prasy i delegatów z terenu. Coś się święci, ale co?... Wreszcie rzeczowa krytyka biurokratów i zapowiedź oczekiwanych zmian, czy znowu mydlenie oczu?

Dzień później, w sobotę, z inicjatywy działaczy piłkarskich Warszawy, Łodzi, Krakowa i Gdańska w Pałacu Chodkiewiczów odbyła się już otwarta dla

dziennikarzy Krajowa Konferencja Piłkarska („PS” reprezentowali Jerzy Zmarzlik i Jerzy Lechowski). Sekretarz SPN GKKF, kapitan MBP – Henryk Kraft, znowu bezkrytycznie ocenił swoją działalność i kolegów z prezydium. Reformatorskie pomysły delegatów zignorowano. Wystąpienie Krafta zakrawało na prowokację, dało sygnał do jeszcze ostrzejszej krytyki. Coraz głośniej zaczęto mówić o konieczności reaktywowania PZPN. Uwagi te z lekko zarysowaną skruchą przyjął tylko wiceprzewodniczący GKKF, Paweł Procek. Ale i jemu szło głównie o wygaszenie zaognionej sytuacji, a nie o realizację jakichkolwiek reform. To wówczas wyraził o sytuacji w naszym futbolu kuriozalną opinię, do dziś dość często i chętnie powielaną:

– Towarzysze! Macie rację, trzeba ostrzej... Piłka nożna nie ciul, od głaśkania się nie podniesie. Ta dyscyplina wymaga lepszego szkolenia i więcej gier... Dobrych partnerów...

– Ale PPIS przeszkadza! – krzyknął ktoś z sali.

Ktoś inny dodał:

– Kiedy zlikwidujecie ten sztuczny twór? Sami potrafimy organizować mecze i turnieje...

Procek to wytrawny gracz polityczny, po raz drugi rozśmieszył, ale i wyraźnie podbudował mniej zorientowanych działaczy:

– Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Sportowych, towarzysze, będzie istniało tak długo, dopóki sami go nie zlikwidujemy. Jednak tak szybko nie da się złamać istniejących przepisów i form pracy. Na to trzeba czasu... Można jednak – i trzeba towarzysze – już dziś uzdrowić sytuację wśród sędziów. To teraz chyba najważniejszy temat, tymczasem nikt go na tej konferencji nie podjął...

Procek świadomie usiłował zainteresować dyskutantów typowym tematem zastępczym. Bądźmy jednak sprawiedliwi, znaczna część delegatów też nie potrafiła chwycić byka za rogi. Wnioski nie sięgały sedna sprawy. Na tej naradzie

nie reaktywowano PZPN, ale silna dotychczas pozycja SPN GKKF zaczęła się kruszyć. Wybrano nowe kierownictwo tej atrapy PZPN. Przewodniczącym został Stefan Glinka, były aktywista OM TUR, sędzia piłkarski, urzędnik GKKF i działacz PZPN już w latach czterdziestych. Miał nie lada problem do rozwiązania, delegaci złożyli na jego ręce 102 wnioski i domagali się szybkiej ich realizacji. W ramach tej samej struktury... Zaraz po wyborach z nowym przewodniczącym SPN GKKF przeprowadziłem wywiad dla „Przeglądu Sportowego”. Oto jego fragmenty:

– Muszę obiektywnie stwierdzić – powiedział Stefan Glinka – że naradę cechowała dość chaotyczna atmosfera. Zbyt duża nerwowość nie pozwoliła na dogłębne rozważenie palących zagadnień.

– Opinia społeczna jest rozgoryczona. Co zrobić, aby przywrócić zaufanie społeczeństwa do futbolu i jego kierownictwa? Co zrobić, aby było po prostu lepiej?

Przewodniczący Glinka miał kłopot z udzieleniem wiarygodnie brzmiącej odpowiedzi.

– Trzeba opracować nowy regulamin sekcji i dokładnie „rozpracować” wszystkie wnioski.

– „Nowy regulamin sekcji”... Czyżby Glinka nie wierzył w odrodzenie PZPN? A może bał się publicznie wyrazić w tej sprawie własne zdanie? Pytam więc dalej:

– Jak zatem teraz powinna wyglądać praca Sekcji Piłki Nożnej GKKF?

– Długofalowy plan myślę opracować dopiero po rozmowie z przewodniczącym Włodzimierzem Reczkiem. Zamierzam zwrócić główną uwagę na tematykę szkoleniową. Trzeba sprowadzić kilku trenerów z zagranicy. Bez nich bowiem popchnąć pracę naprzód będzie nam bardzo trudno. Do kraju powinniśmy sprowadzać wyłącznie silne drużyny, bo tylko od lepszych można się czegoś nauczyć.

Wcześniej podobne myśli wyraził już nasz GKKF-owski bohater, Paweł Procek. Miał widać dobre układy w Bundeslidze, bo w roku 1956 na dwa mecze do Polski sprowadził czołową wówczas drużynę RFN, Fortunę Duesseldorf. Oglądałem jej oba występy – remisowy z Ruchem w Chorzowie (3:3) i wygrany z ŁKS w Łodzi (2:1). Wielkich nazwisk nie było, ale gra przyzwoita, wyróżniał się zwłaszcza Jupp Derwall, późniejszy selekcjoner zachodnio-niemieckiej reprezentacji. Psioczyłem na Polaków: „Pryśł jak sen, wielki polot i fantazja łódzkiego napadu. Wystrzelał gdzieś cały zapas amunicji. A Ruch? Jeśli gra dobrze Cieślik, to gra dobrze cały Ruch”.

Nie to jednak zaskoczyło „świadka koronnego”. Przede wszystkim swoboda i radość z jaką Paweł Procek niezłym autokarem podróżował z Niemcami po kraju. Popijał z nimi piwo i śpiewał znaną z czasów okupacji marszową piosenkę „Wenn die rote Rosen bluehen”. To już był dla mnie szok, ale jeszcze większy przeżyłem na Śląsku. Piłkarzy Fortuny witano tam kwiatami i z taką pompą, jak przed laty Ruch po powrocie z Warszawy, gdzie zdobył mistrzostwo i Puchar Polski. Obmacywano autokar rękami, ruszono za nim w pościg. Czułem się nieswojo, bo ja też tam byłem...

Prockowi udało się sprowadzić do Polski również brazylijską drużynę Atletica Portuguesa. Szóstego czerwca 1956 roku, w środę, a więc w powszedni dzień pracy piłkarze znad Rio okazali się niezwykłym magnesem dla kibiców z całej Polski. Na Stadion Dziesięciolecia zjechało 70 tysięcy widzów. Tramwaje i autobusy przepełnione, winogronka na zewnątrz pojazdów, tłok jak się patrzy, nawet samochodem fotoreportera Mietka Szymkowskiego trudno było dojechać nad Wisłę. Nikt jednak tej „drogi przez mękę” nie przeklinał. Z satysfakcją opisałem to spotkanie. Obie drużyny, a z naszej strony była to Legia w najsilniejszym składzie, zademonstrowały piękne widowisko. Wygrali „Wojskowi” 2:1 (gole: Kempny i Pohl), ale goście z drugiej półkuli też uraczyli grą, po której palce można było

lizać. Jak piękne są wspomnienia... Gdzie dziś na krajowych boiskach można się rozkoszować takim kunsztem technicznym?

Poziom tego spotkania zdecydowanie przewyższał wycieczki reprezentacji w krytycznym meczu z Bułgarią i trudną do wybaczenia kompromitację w spotkaniu z NRD. Wygrana Legii nieco udobruchała piłkarską społeczność, ale nie była w stanie osłabić kursu na „odwilż” i demokratyzację. Tymczasem funkcjonariusze MBP wyłapywali uczestników i świadków czerwcowych wydarzeń w Poznaniu. Dotarli nawet do naszej redakcji przy Alei I Armii WP 11. Akurat w czasie poznańskiego zrywu Michał Kierczyński Wielkopolek od urodzenia i ja Mazowszanin, zwiedzaliśmy targi. To już było podejrzane. Emisariusze z Warszawy?...

ZACZEŁO SIĘ W POZNANIU...

Ja jednak wprost z targów udałem się na urlop, Michał oczywiście odprowadził mnie na dworzec, ale zaraz potem dołączył do kolegów z Pleszewa studiujących w Poznaniu. Spotkali się w jakiejś bursie przy ulicy Matejki. Stąd znowu pomaszerowali na tereny targowe. A tam, co krok to milicjant w mundurze lub konfident w cywilu. Legitymowali każdego, studentów z Pleszewa i Michała również. Kierczyński, mieszkający teraz na stałe w Warszawie, wydał im się najbardziej podejrzany. Może to rzeczywiście wichrzyciel celowo nadesłany do Poznania ze stolicy? „Zwinęli” więc Michałka i z dużą grupą, podobnie jak on zaskoczonych, popędzili na komisariat MO na Gołęczynie. To bliskie sąsiedztwo znanego nie tylko w Poznaniu ośrodka sportowego „Olimpii” Poznań. Bez jedzenia i bez spania spędził tam mój kumpel 48 godzin. Czekał na przesłuchanie. Wziął go w obroty major, ale „nie znalazł winy”. Przepędził z posterunku.

Michał odetchnął z ulgą. Ale nie na długo. Przedstawiciele ludowej władzy, tym razem wyłącznie w cywilu, niepokoiili go teraz w Warszawie. Był czas letniej

kanikuły, w redakcji pustki, naczelny Strzelecki na urlopie, Michał też gdzieś hulał po Polsce. Funkcję szefa „PS” przejął Jerzy Zmarzlik. Ja wróciłem z wakacji, bo zbliżał się nowy sezon piłkarski. Funkcjonariusze z MBP uporczywie wypytywali zastępcę naczelnego o powiązania Kierczyńskiego z... „poznańskimi wicherzycielami”. Zdziwiony Zmarzlik najpierw jakby sam siebie, a potem nieproszonych gości, zapytał:

– Kierczyński, wicherzycielem?... Panowie, chyba pomyliliście człowieka... Michał to chodząca flegma, żeby nie powiedzieć dupa. I taki oferma miałby odwagę podnieść rękę na władzę ludową? Ręczę za niego i jego prawomyślność. To spokojny ZMP-owiec!...

Zmarzlik, miał to w sobie, oczywiście nadmiernie ubarwił osobowość Michała i mocno przesadził z tą jego pozorną ślamazarnością. Bo oto w październiku, gdy na wiec z udziałem Władysława Gomułki na Plac Defilad ciągnęła niemal cała Warszawa, Kierczyński zwołał nasz zespół na Plac Unii Lubelskiej. Było to blisko, najwyżej 200 metrów od redakcji, więc bez sprzeciwów poddaliśmy się woli „wicherzyciela”. A tam cała rzesza zwolenników Gomułki. Wmieszaliśmy się w tłum i pieszo Marszałkowską powędrowaliśmy do centrum Śródmieścia. „Wiesław”, podobnie jak niedawno w Moskwie Nikita Chruszczow, potępił stalinizm i kult jednostki. Skojarzyliśmy to z sytuacją w naszej redakcji. W środowisku epitetem „Jednostka” obrzucano naszego naczelnego....

Wystąpienie Gomułki zachęciło do ofensywy również środowisko sportowe. W piłkarstwie pierwsi na barykady wspięli się sędziowie: Grzegorz Aleksandrowicz, Julian Mytnik, Józef Kowol, Włodzimierz Storoniak, Edward Budaj i inni. Apelowali do kolegów:

... „*W całej Polsce odbywają się zebrania działaczy piłki nożnej, które przygotowują projekt nowej organizacji i ustalają zasadnicze kierunki pracy Polskiego Związku Piłki Nożnej. Wymaga to zmobilizowania wszystkich, którym na sercu leży dobro*

piłki nożnej, a więc i tych, którzy odsunięci przed kilku laty, musieli z żalem przypatrywać się niszczeniu ich wieloletniego dorobku. Także tych, którzy – mimo wielu przeszkód, zakazów, często też cierpienia doznawanych przez narzucony system – pracują w futbolu do dnia dzisiejszego”...

Jednak nadal działała (już pod kierownictwem Stefana Glinki) SPN GKKF. To nie zaspokajało ambicji ludzi futbolu. Wszak to atrapa PZPN! Pod wodzą Kazimierza Morawskiego z Krakowa ruszono na Warszawę. Praktycznie w każdym województwie domagano się likwidacji zrzeszeń, przywrócenia polskim klubom osobowości prawnej i dawnych (tradycyjnych) nazw. W kołach sportowych ożywienie, nastrój stanowczości. To był kamyk, który poruszył lawinę. Na sztandarach reformatorów pojawiło się teraz prawdziwie rewolucyjne hasło: REAKTYWOWAĆ PZPN!

W dniu 9 grudnia 1956 roku odbyło się plenarne zebranie Sekcji Piłki Nożnej GKKF. Stanowczo domagano się gruntownych zmian w piłkarstwie. Delegaci już bez owijania czegokolwiek w bawełnę, odważnie przemawiali i dowodzili, że tylko reaktywowany PZPN jest w stanie zerwać z obcym dyktatem i mądrze przeprowadzić niezbędne reformy. I stało się, Stefan Glinka w imieniu prezydium SPN, przedłożył wniosek o odrodzenie PZPN. Sądzę, że decyzja zapadła gdzie indziej – w GKKF lub organach partyjnych. Tak czy inaczej atmosfera wielkiego święta, wybuch entuzjazmu. Owacjami na stojąco przyjęto oświadczenie Glinki. PZPN redivivus! Znowu mamy POLSKI ZWIĄZEK PIŁKI NOŻNEJ! Wybrano zarząd tymczasowy. Prezesem został Stefan Glinka, a sekretarzem Roman Giełda, obaj znani w naszym środowisku już w latach trzydziestych.

To była również dla mnie niecodzienna satysfakcja. Byłem tam, wiwatowałem i nie ukrywam tak, jak inni, też coś w tej podniosłej chwili wypilem. A w „Przeglądzie Sportowym” z dumą informowałem o tym historycznym wydarzeniu:

„Oficjalne wybory do zarządu PZPN odbędą się w dniach 16 i 17 lutego 1957 roku na Walnym Zgromadzeniu Związku. Zarząd postanowił reaktywować okręgowe związki piłki nożnej. Wszystkie postanowienia tymczasowego kierownictwa oparte są na statucie PZPN zatwierdzonym w 1948 roku. Z wielkim zdziwieniem i niezadowoleniem przyjęli zebrani nieobecność na tak ważnej dla piłkarstwa naradzie przedstawiciela GKKF. Czyżby tak istotne zagadnienie, reaktywowanie PZPN nie interesowało wiceprzewodniczącego tow. Procka odpowiedzialnego dotychczas za piłkarstwo z ramienia prezydium GKKF”?

❧ CZEŚĆ II ❧

NI PIES, NI WYDRA

W pałacu „księcia Józefa”

Tajemnice łódzkiego „Grand Hotelu”

Kulisy chorzowskiej wiktorii

Zemsta „Siwego”

Bałkański ślad

Dziennikarskie donosy

Strzały nad Bajkałem

Na deskach Follies Bergeres

Areszt na dworcu w Trewirze

Śląskie układy

Wieczór w haremie

Herbatka u Szewczenki

Wrzało w klubach i w terenowych sekcjach piłki nożnej. Dosłownie trzy dni po reaktywowaniu PZPN najgoręcej zrobiło się w Warszawie.

– Rozpada się CWKS! – roznosili wieści kibice. Mahselli, Kempny i Brychczy idą do Polonii Bytom, Szymkowiak do Zagłębia Sosnowiec, a Kowal i Pohl do Górnika Zabrze.

Co na to kierownictwo klubu? Oficjalnie oświadczone, że „*nie czyni się zawodnikom żadnych przeszkód w dokonaniu zmiany barw klubowych*” Dzień później (13.12) w świetlicy CWKS na Stadionie WP odbyło się zebranie przedstawicieli wszystkich sekcji. Postanowiono przywrócić nazwę LEGIA i oprzeć działalność klubu wyłącznie na działaczach społecznych. Największym entuzjastą tego pomysłu był pułkownik Kazimierz Malczewski, znany i aktywny także w PZPN. Fantasta. Legia i wyłącznie społecznicy?

W Gwardii i Polonii też fantazjowano. Obwieszczono, że w Warszawie powstanie wreszcie jeszcze jeden silny klub. „Przegląd Sportowy” przekonywał, że to nie Prima Aprilis, lecz świąteczna gwiazdka dla kibiców. Będzie fuzja Gwardii z Polonią. Mówiono i pisano o tym od dawna, a ja przypominałem dotychczasowe starania działaczy obu klubów o połączenie. To długa historia. Już raz, tuż po wojnie Polonia była klubem milicyjnym. Czy teraz jest to możliwe? Kibice pokrzykiwali: – „*Polonia znowu w I lidze. Najbliższe derby stolicy z Legią na Stadionie Dziesięciolecia!*”.

Urzednicy ze Stołecznego Komitetu Kultury Fizycznej niby też popierali ten pomysł, ale... nie pchali się przed szereg. Przeszła wiosna, lato, jesień, reaktywowano PZPN. Wtedy sprawa ponownie odżyła. W Polonii wyłoniono specjalną komisję i zobowiązano jej członków do podjęcia z Gwardią konkretnych rozmów. Piłkarze poparli tę inicjatywę, do zjednoczenia klubów zachęcał Stanisław Szymaniak, persona dość ważna na Konwiktorskiej i w okręgu warszawskim. Jednak znaczna część działaczy nadal miała wątpliwości. Czy

opłaci się skórka za wyprawkę? Armaty jakie na rzecz fuzji wytoczył Szymaniak, nie wypaliły.

Czas pokazał, że było to dobre zrządzenie losu. Polonia bez pukania do obcych drzwi i zbierania śmietanki z cudzego garnuszka, stanęła wkrótce na nogi o własnych siłach. Dziś po raz drugi w swej historii może się pochwalić wywalceniem mistrzostwa i Pucharu Polski. Gwardii – ulubieńca władzy z lat pięćdziesiątych – pozostały już tylko wspomnienia po „harpagonach”. Odrodzenie „Czarnych Koszul”, a właściwie przywrócenie Polonii jej dawnej nazwy i należnej pozycji w stołecznym i polskim futbolu, nastąpiło już w pierwszych dniach stycznia 1957 roku. Uczestniczyłem w tym wydarzeniu. Trudno to zapomnieć: entuzjazm działaczy i chóralne okrzyki POLONIA REDIVIVA! Brawa na stojąco. Ten i ów ma łzy w oczach, wszyscy skandują: – Hurra Polonia! – Orły do boju!...

Ten uroczysty, prawdziwie warszawski nastrój przerwał jednak niejaki pan Rakowiecki (co za zbieżność z ulicą Rakowiecką?) z sekcji narciarskiej:

– Strzeż się, bracie Polonisto! – wrzasnął do zebranych. – Ten powszechny entuzjazm jest nieuzasadniony. Głosowanie przez aklamację jest nieważne, nieformalne! Tak nie można... Sprawę trzeba przemyśleć, przedyskutować... Nadal jesteśmy „Kolejarzem!”.

Prawdziwi poloniści nie mieli ochoty na jałowe dyskusje. To już nie te czasy. Zbyt długo czekali na tę chwilę radości, żeby teraz wysłuchiwać takich impertynencji. Rakowiecki nie dawał za wygraną, ale od początku było wiadomo, że ten szaleniec pomylił miejsce i czas takich wystąpień. W tym gronie persona non grata. Zamknął wreszcie buzię i z niewielką gwardią przyboczną opuścił zebranie. Zaraz po tym incydencie wybrano nowego prezesa. Stanisław Frenkiel, nowy sternik klubu, z Polonią związany był już w latach międzywojennych. Działacz prawy, patriota, uczestnik Bitwy pod Monte Cassino.